1845. Nr 6. ROK 4.

Redaktor główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

PRZEJŚCIE.

Auch ich war in Arkadien geboren,
Auch mir hat die Natur
An meiner Wiege Freude zugeschworen,
Auch ich war in Arkadien geboren.
Doch Thränen gab der kurze
Lenz mir nur.

SCHILLER.

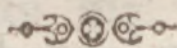
1.

PIOSNKA.

Gdzieś nademną, przy mnie, we mnie,
Jakieś tony, z dźwięków dźwięki
Grają rzewnie i tajemnie.
To rozpierzchłe, znów spojone
Uwielbienia mego siłą —
Zgodnie, strojnie, czule, miło,
Ołzawione, opieszczone, —

Sercu memu brzmią w piosenki,
Duszy mojéj w hymn podzięki. —
Osłabione moje zmysły
Pod harmonji cudnéj władzą —
W jeden urok się rozprysły,
W jedno czucie się gromadzą.
I tak spojne — zasypiają,
Jak na różach dech wietrzyka,
Co uściśnie kwiat i znika;
Tak i one śniąc, znikają —
Tylko duszy jasne oko
Lśniącą gwiazdą marzeń czuwa,
Rozpatruje się szeroko,
Z miękkich tonów myśl wysnuwa.
I nie dźwięczność ich pieściwą,
Ale kształt ich boski czuje —
Lekko, lotnie — przecie żywo,
Bo go słowem odmaluje.
I jeżeli tego słowa
Niezrozumié zmysłów ucho,
Nie pomieści ludzka mowa,
Tylko niém zabrzęknie głucho.
Wtedy słowo to z tonami,
Co kształt miały nadać jemu —
Z pieszczotami i kwiatami
Wonnych marzeń nie zaginie,
Lecz na skrzydłach urojenia
Wzleci myślą swego brzmienia
Ku rodzinnéj swéj krainie, —
Tam ku niebu gwiaździstemu. —
I bujając w tle z lazuru,
Jak blask słońca w wód topieli,
Zgodzi siebie z pieśnią chóru,
Co zawodzą tam anieli,

Dźwiękiem jednym, nieskończonym,
Niepojętym, niezdźwięczonym.
I bujając tak po niebie,
Gdy wyśpiéwa wszystko swoje,
Gdy wyśpiéwa samo siebie,
Niknie w wielkim, wiecznym chórze,
Jako błyskawica w chmurze. —
Lecz wspomnienia na pół-senne
Zbudzonemu już na ziemi —
Tulą duszę, jak powoje,
Girlandami srebrzystémi.
I przy całym zmysłów szale
Blask ich duszę opromienia —
I po smutnym mar pogrzebie,
Kraszą chwile złud codzienne,
Znaną pieśnią przypomnienia
O niebieskim ideale,
Co zaniknął gdzieś na niebie.



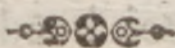


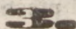
ŻYCIE.

Pójdź do mnie, do mnie, pierś twą spragnioną
Żarem mych pieszczot ukoję,
Promieniem chwały rozżarzę łono,
A czoło w wawrzyn ustroję. —
Do mnie pójdź, do mnie — na co tych pieśni,
Tych sennych marzeń ułuda?
Nieśnią wokoło — i ty więc nie śnij;
W życiu, nie we śnach są cuda.

Ach! do mnie, do mnie — siłą metalu
Uzbroję młodą twą wolę,
Wykąpię duszę w krwi, — od łez żalu
Serce puklerzem okolę.
Ach! do mnie, do mnie — niech wichrów wycie
Szaleje dziko i tłumnie —
Niezwyciężony, jako ja — *życie*,
Będziesz szedł śmiało i dumnie.
Ach! do mnie, do mnie. Tym drobnym ludem
Giąć będziesz, on ci otworzy
Sam drogę czynu, który jest cudem,
Co tłumy olśnia i korzy; —
Lecz jeśli pierś twa jeszcze za miękka
Nieznieść zbroi hartownéj,
Jeżeli serce jeszcze się lęka
Łez i żałości wymownéj,
Jeżeli pieśni jeszcze kołyszą
Tęskniącą duszę — urokiem,
Jeśli ci płyną wieczorną ciszą
Postacie duchów przed okiem, —
Chodź do mnie! W chwały uniesień braku,
Mych dziewic usta różowe —
Zbudzą w twéj młodéj piersi, śpiéwaku!
Uczucia silne i nowe.
Gdy nie chcesz błysnąć kometą czynu,
Spojrzeć sam jeden w około,
Zamiast poważnym wieńcem wawrzynu,
Opaszę mirtem twe czoło.
Lecz do mnie, do mnie! Na co tych pieśni,
Tych sennych marzeń ułuda?
Nie śnią w około i ty więc nie śnij —
W życiu, nie we śnie są cuda.

Chociaż pierś młoda, gardzisz mirtowym
Wieńcem pieszczoty uroczej,
A więc dłoń moja — wieńcem laurowym,
Twe blade skronie otoczy.
Lecz do mnie! — Pośrod ludzkości chóru,
Co dźwięczy poważnym ciągiem —
Będziesz jak posąg ryty z marmuru,
Lub padniesz — ale posągiem.





CELJA.

Kiedy jeszcze mar tysiące
Złotych tęcz przelotną mgłą,
Obwijało wpół-drzemiące
Serce moje, duszę mą.

Kiedy wszystko pięknèm czułem,
Każdy człowiek zdał się brat,
Kiedy śniłem, kiedy snułem,
Jakiś czysty duchów świat.

Czemu wtedy lazurowe,
Jak ten błękit, oczy twe—
I to czoło lilijowe,
Nieolśniły blaskiem mnie?

Czemu wtedy z ust anioła
Pieszczotliwych dźwięków tok,
Nie odźwięczył mnie do koła
W uniesienia luby mrok.

Gdzie prócz dwojga serc czujących,
Dwojga wymarzonych lic,
Dwojga oczu niebem lśniących.
Zresztą cisza, ciemność, nic.....

Czy łodyga w szarą jesień
Kwitnie w młodéj wiosny kwiat?
Zdołaż jaśnieć blask uniesień
W duszy zdartéj z marzeń szat?

W duszy, której każde tętno
Namiętnością drżało już,
Uwiedzione tak ponętną
Pieśnią życia, pieśnią burz.

Pieśń brzęczała — niedźwięczyła.
Burze gdzieś w oddali wrą,
Dusza drżała — potém śniła,
Rozstrojona zwodzeń grą.

W tym śnie zwątpień, śnie szalonym,
Celjo! cały męczarń stek,
Jak żelazem rozpalonėm
Duszę palił, serce piekł.

Lecz żar zwolna i tajemno
Może sam wypali moc.
I zagaśnie głucho, ciemno,
W przesycenia szarą noc.

Celjo! przed tej nocy głuszą —
Czyste światło duszy twéj,
Nad schmurzoną moją duszą,
Jak wieczorną jutrznię, zlej!

Może promyk jéj złocony, —
Blado — lecz pokaże ci,
Że ten duch choć przygnębiony,
Bliski zmarcia, jeszcze drży.

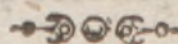
Że w tem sercu, co zawcześnie
Już przechrzciło złudzeń chrzest, —
Jeszcze jedno w niém boleśnie
Utajone czucie jest.

Krwawe — ale jasno lśniące,
Seljo! jako postać twa. —
Jak pogarda, tak palące,
Czyste, jak tęsknoty łza.

Zdołaj twém dziewiczém tchnieniem
Zgasić pożar, zbudzić łzę —
Zdołaj jasném twém spojrzeniem,
Jasną tęczą olśnić mgłę. —

A to czucie przyciśnięte
Tęczy światłem błyśnie wraz,
W iskr tysiące rozpryśnięte
Swym urokiem ojmie nas.

Lecz daremnie pierś się wzdyma, —
I namiętny serca żar
Próżno pali. — Celji nié ma,
Celja pierzchła w kraje mar!



PIEŚŃ PIEŚNI.

Już nie marny dźwięk po dźwięku
I nie tonów lekkich tony —
To zagrają, to znikają,
Lecz ton jeden nieskończony
W nieskończonych pieśni wdzięku,

To namiętnie, to ponętnie,
To niebiańsko, to znów dziko —
Dokończoną gra muzyką.
Już nie świeże kwiaty marzeń,
Strojąc myśli w powab woni,
Rosnąc z myśli, tworzą je —
Ale z ciągu głębszych wrażeń,
Jedna myśl wyrabia się,
Jedna pewność; — zdala do niéj
Marzeń kwiaty chylą się.
A w pewności téj objęciu,
A w téj myśli kształtném zgięciu,
To o czém się teraz nie śni,
Cała przeszłość przemarzona
Co lśni smutniej i boleśniéj
Niżli wieniec u Ofelji,
Co choć sama w sobie kona —
Lecz ją pieśni ciąg połączą;
I brzmi piérwsza piosnka pieśni,
Wraz pieśń życia żywa, rącza
Po niéj smutna pieśń do Celji.

Te trzy pieśni połączone,
Mary, życie i znów mary,
Pierzchające coraz smutniéj; —
To trzy stróny wyciągnione,
Wystrojone na méj lutni. —

To trzy dźwięki choć rozpierzchłe
Ale w samych sobie pełne;
To trzy światy choć zamierzchłe,
Lecz **ideą** swą zupełne.

*
* *

Te trzy pieśni, te trzy światy,
Choć to — wszystko, czém bogaty
Duch śpiéwaka. Całe mnóstwo
Kwiatów zwiędłych, co zostało —
Jeden akkord z tych, co brzmiały
Jeden tylko ołtarz cały,
W którym ideału bóstwo
W formy *piękne* się przywdziało.

Przecie życia pieśń namiętna
Więcéj twarda, mniéj ponętna,
W któréj jęki przytłumione
I pogardy krwawe piętna,
I służalczość blada gminu,
Znowu przemoc — po kolei,
Gdy rozrani rozdrażnione
Bolem serce, które nie śni —
Wtedy wątły blask *idei*
Niknie przy pochodni *czynu*,
Co króluje w saméj pieśni,
Która jest jego prorokiem. —
Żyjcie czyny!

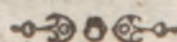
Brzmijcie pieśni!
Jak szum wiatru nad potokiem.
Wasze dźwięki niechaj wtórzą
Błyskom grzmotu, trzasku drzew.
Jak jaskółki, gdy przed burzą
Lot zniżają, żniżcie śpiew
Coraz niżéj — i wszystkiemi
Akkordami pieśń dla ziemi
Zaśpiéwajcie — pieśń dzielniejszą,
Zrozumialszą, potrzebniejszą. —

A gdy mknące śród parowu
Jasne słońce olśni znowu,
Wtedy lećcie — po błękicie
Eterowe pędzić życie —
W gwiazd orszaku, w nieba niebie
Roić piosnki, znów dla siebie. . . . —

Włodzimierz Wolski.



ZJAZD MONARCHÓW W ŁUCKU
za
WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY
w roku 1429.



Dla ściślejszéj jakoby zgody, pojednania wszelkich nieporozumień z Krzyżakami, narad o wojnie przeciwko Turkom i Hussytom, umówiono zjazd monarchów w Łucku. To były głośne pobudki, objawione światu, skryte zaś, lecz właściwe, te upatrujemy. Witold pałał niechęcią ku Zofii królowéj, chociaż tego związku sam piérwszym był doradcą: nie poznał snać charakteru dziewicy, mniemał ją spokojną, cichą, powolną, wszelkim widokom jego snadnie ulegać mającą; inną okazała się, posiadłszy tron, serce i łoże monarchy polskiego. Młoda, żywa, powabna, przymilająca się, wzięła przewagę nad umysłem panującego; tego przebaczyć nie mógł, chciwy władać starcem. Skryte myśli dostrzegli wieczni rozsiewacze niezgód, bracia Teutońscy; podżegali niechęć przekładając upojonemu wielkością książęciu, że siebie krzywdzi nie wznosząc się wyżéj, ulegając tym, którym jest równy, a przymiotami wyższy. Przebywający często u Witołda komandor Regnetu Mimpelgart, ten jad w serce jego wpuścił, podsycał próżność i dumę; za wiedzą mistrza znosił się z cesarzem, by koroną uwieńczyć skronie Kiejstutowego syna, a tém samem oderwać

Litwę od Polski, co najsilniejszém było ich życzeniem (*). Namowy, które w młodym wieku za sławą tylko ubiegający się książę odrzucił, usidliły sędziwego męża. Może też w dawniejszych czasach, pochlebiał sobie przeżyć króla nie mającego potomków płci męskiej, i napawał się tą otuchą, że mężny, wspaniałomyślny, znany Polakom, od nich ceniony, snadnie berło ich osiągnie; lecz kiedy nadzieje księcia płodnością Zofji królowéj omylone zostały, on co wyższych nad sobą nie znosił, w inną stronę, blaskiem wielkości zaślepiony, zwrócił oczy, i książęce krzesło w majestat udzielnych monarchów przeistoczyć zapragnął.

Że się opóźniał z przybyciem Zygmunt, Władysław z Łucka, na łowy ku Żytomirzowi wybiegł; zawiadomiony o zbliżeniu się jego, powrócił co rychlej. Witold naprzeciw cesarza wyjechał o milę, Jagiełło bliżéj nieco: wezwała go do swego powozu Barbara królowa rzymska. Małżonek jéj konno jechał, mając u boku znakomitych mężów. Obecnością swoją ten zjazd zaszczycili, dodając mu świetności i powagi książęta Mazowieccy, Ruscy i Litewscy, wielu udzielnych książąt Rzeszy, władcy Pomorza, Lignicy, Brzegu, mistrz Krzyżaków Pruskich Rusdorf, Zyfryd Inflanckiéj prowincji, posłowie od Jana Paleologa cesarza wschodu, legat papieski, tudzież Eryk król Duński i Szwedzki; Bazyli W. Ks. Moskiewski z Focjuszem metropolitą, Borys twerski, Oleg rezański, kniaziowie Odojewscy, wygnany z swéj ziemi hospodar Wołoski Eljasz, królikowie Tatarscy z Perekopu i z za Wołgi (**). Każdemu z nich nadworny orszak towarzyszył. Jagiełło przepisał wszystkich okazałością, strojnym hufcem otaczającéj go młodzieży, zbrojnych mężów, i rad poważnych. Z nadzwyczajnym przepychem uroczysty wjazd spełniono, przy odgłosie trąb, kotłów, surm, piszczałek i rozlicznéj muzyki godowéj i wojennéj. Spotkały monarchów processje katolickie, pod przewodnictwem Andrzeja ze Spławki, herbu Leliwa, biskupa, daléj Ormianów i Starozakon-

(*) Kocebu t. 3, s. 226. Szymon Granau t. 15 c. 14 §. 2.

(**) Kojałowicz 129. Stryjkowski 529. Karamzin.

nych niezliczone tłumy. Piérwszych tylko ucałowaniem świętości cesarz uczcił, inne gromady niedbale pominął. Gdy stanęli u książęcego dworu, wnet na wspaniałą biesiadę, znakomitszych wezwał Witld; oczy wszystkich były zdziwione mnóstwem srebrnych i szczerozłotych naczyń, bogactwem wszelkich sprzętów tego siedliska. Lud pospolitszy, niezapominając nikogo, każdego racząc obficie, u oddzielnych częstowano stołów. Codziennie wychodziło 700 wołów, 1400 baranów, 100 sztuk grubego zwierza, jakoto: żubrów, łosi, świń dzikich, 700 beczek miodu, krom wina i innych napojów. Z takim to nakładem, z okazałością powiększającą się raczéj, nie zmniejszającą, przez 50 dni utrzymywał Witołd przybyłych gości, zajmując ich nowemi coraz zabawy, nieszczędząc wszelkiego rodzaju widowisk, gonitw, turniejów: w innéj co raz stronie obmyślał świetne polowania, z wprawnemi sokoły, gończemi i innego rodzaju psami, tudzież na obławę; późną część dnia i nocy, ucztom, słuchaniu muzyki, pląsom i śpiewom poświęcano. Te dostatki, tę zamożność widząc, ozwał się z uniesieniem cesarz, rozmawiając poufale z Witołdem: „Z tego wszystkiego na co spoglądam, uznaję cię królem nie książęciem, tytułu ci tylko brakuje i ten mieć będziesz.” Znał bowiem, że szlachetne serca, dumą i wysokiemi zaszczyty najłacniéj ułowić się dają. Wdzięczny syn Kiejstuta, chcąc i życzliwość swoję, a razem siłę i potęgę swą okazać, upewnił Zygmunta, że przeciwko Czechom poszle mu 100,000 wojska i przez rok cały, o swoim koszcie utrzymywać je będzie (*).

Nie samym tylko zabawom poświęcano te chwile, czyniono narady w przedmiotach ważnych. Chciwy zdobyczy cesarz nalegał, ażeby w przyszłym roku, na Wołochów, jako lud złodziejski i rabusiowski, że przeciw Turkom nie dał mu pomocy, wspólną przedsięwziąć wyprawę, podzielić się ich ziemią; usprawiedliwiał onych Jagiełło, że wspólnie z Polakami byli nad Dunajem i dwa miesiące stali naprożno; nie ich winą, że nie przybył król Rzym-

---

(*) Colner apud Eckardum p. 1299. Kranz Vandaha l. 1 c. 22.

ski. Z obecnych książąt każdy miał jakieś widoki, potrzeby te spełnić, do skutku przywieść usiłował, albo stawiał zapory przeciwnym sobie, niedogodnym zamachom. Wszakże niedochowały nam dzieje całego ciągu układów, domagań się, przytomnych tam osób, które z nich przyjęte lub odrzucone zostały? i z jakich powodów, za czyją sprawą?

Lecz najgłówniejszego celu niespuszczał z oka chytry Zygmunt, żądny sławy i wzniesienia Witołd; do tego dążąc syn Kiejstuta rad obecnych nieznacznie przygotowuje umysły, ujmuje darami; wszakże od woli zwierzchniego pana, dziedzicznego tych krajów władcy, zależało wszystko. Spoczywał jeszcze Władysław, kiedy wraz z małżonką swą Barbarą, wchodzi do niego cesarz i z nią wspólnie namawia go, uludza, by zezwolił na koronacją władcy Litwy, rzecz tak chlubną dla niego, brata i téj ziemi, która go wydała, przypominając mu, że i Mendog był królem, a godniejszy nim być Witold. Długo się opiérał Władysław, przedstawiał trudności: te przełamywać; ułatwiać, zmniejszać starano się zdradliwie, wszystko w najpochlebniejszym stawiąc obrazie.

Utrudzony naleganiem, zapewniony tysiącznemi przysięgami, że to w dobrym jedynie przedsiębrano celu, dla okazania wdzięczności gospodarzowi tak wylanemu na ich ugoszczenie, któremu ten zaszczyt obojętnym być nie może, tém ściśléj ich wszystkich połączy. Zdawał się nakoniec skłaniać dobrowolny Jagiełło, odwołał się jednak do zdania rad swoich. Wnet posyła ku nim Witołd Mikołaja Sępińskiego, sekretarza swego; a zaledwie ten mówić skończył, sam wbiega, ponawia prośbę, aby tak świetnemu dlań zdarzeniu, nie byli przeciwni, nieodchodząc z rady, obliczem swem, jednych zatrważać, drugich pociągnąć usiluje. Arcybiskup Gnieznieński, pierwszy usta otwiera, lecz tak zawile mówi, że nic nie stanowiąc, czczych słów dźwiękiem bawi, myśli nie wykrywa. Mocno i otwarcie przeciwko temu zamiarowi powstaje biskup krakowski, zdradliwość cesarza w tym postępku tłómacząc; zwraca się nareszcie ku Witołdowi, i tak się do niego ozwie: „Syt wieku i sławy, powinieneś uznawać się wyższym nad wszelkie zaszczyty.

i pomnieć na tę przysięgę, która cię z Polakami łączy, na wspólne stąd dobro." Podobneż zdanie wynurzył Jan Tarnowski i inni mężowie. Widząc płonność swych usiłowań, rozgniewany Witołd, rzecze wychodząc: „dokażę swego, mimo wasz opór."

Panowie Polscy idą gromadnie do króla, przedstawiając mu skutki, jakie za sobą to złe pociągnie; rozerwanie obu krajów, wieczne dla synów jego uronienie Litwy, wątły stan państw obu, srogich i morderczych wojen zaród, radość i pożytki z osłabienia naszego dla doradcy tak nieszczęśliwego zamysłu; gromią łatwowierność i naganną powolność Jagiełły. Król wypiéra się zezwolenia i jechać z nimi oświadcza; wnet Łuck tłumem opuszczają Polacy, a za nimi i monarcha następnéj nocy, umyka w ziemię Chełmską do Lubomla.

Jeszcze 5 dni pozostał Zygmunt, nie przestając swych namów pocieszał stroskanego Witolda, do wytrwałości zagrzewał; wspaniale ozdobiony kosztownemi upominki odjechał (*). Wsiadającemu już do powozu, ofiarował W. Ks. L. drogą swych przodków pamiątkę, sławny ów róg turowy, sztucznie w złoto i perły osadzony, zdjęty z czaszki ogromnego zwierza, który z rąk Gedymina; założyciela miasta Wilna, poległ. Tyle w nowym dla siebie zaszczycie powabów znajdował Witołd, że przez Rumbowda marszałka i Gasztolda wojewodę Wileńskiego, zapowiedział królowi i Polakom, że czy zechcą, czy nie, on przyjmie berło. W Nowém mieście Korczynie na walnéj radzie, poruczono Zbigniewowi Ole-

(*) Długosz pisze, że się Zygmunt długo wahał być podług przyrzeczenia u króla Polskiego w Sandomiérzu, za najusilniejszem jednak zapewnieniem, i na prożby Witołda to uczynił, potem do Węgier powrócił. Inni dziejopisowie o téj bytności cesarza u Jagiełły milczą i więcéj się do prawdy zbliża, że obraziwszy go, i nie mógł i nie powinien był chcieć się z nim widzieć. Obojętną wreszcie to jest rzeczą, dla nas w kilka wieków żyjących, czyli Zygmunt był w Sandomierzu, czy nie był.

śnickiemu, biskupowi krakowskiemu, i Mikołajowi z Michałowic Sandomierskiemu wojewodzie, ważne poselstwo, by przekonaniem, lub proźbami skłonić uporczywego do odstąpienia tak zgubnych zamysłów; na to im odpowiada: „że podobnym zamiarom tyle się zczasów opiérał, lecz teraz, kiedy na nie Władysław Jagiełło zezwolił, kiedy całemu światu są głośne, odstępować ich, poczytałby za hańbę." Jakoż wyprawił do Wiednia Bartłomieja z Opawy pisarza swego, nalegając o przysłanie koron i innych dostojeństwu temu właściwych ozdób. Z zakonem Teutońskim ściślej się coraz kojarzy a otrzymując listy cesarskie przez w. mistrza, wymawia mu w przyjacielskim sposobie, czemu ich nie otworzył? Dozwala mu wszelkie pisma Zygmunta, Jagiełły i innych osób czytać; przesyła, co do niego świeżo pisze król polski, tę dodając uwagę: „zważ, jak łaskawie do mnie przemawia, lecz jak mało czyni" (*).

(*) Kocebu. Zbiór listów bibljoteki zamkowéj Królewieckiej Nro 1738 i 1604.

Ł. Gołębiowski.



ZARĘCZYNY AKTORKI,

KOMEDIJA W DWOCH AKTACH.

MĄŻ I ARTYSTA,

KOMEDIJA W JEDNYM AKCIE.

(Przegląd.)

Nie czekając na wrażenie, jakie sprawią te komedije w przedstawieniu na scenie, co po większéj części zależy od wielu wpływów zewnętrznych, jako: sposobu wystawienia, gry artystów, rodzaju publiczności, usposobienia jéj, następstwa sztuk &c., chcemy mówić o wewnętrznéj tych komedyj stronie, jak są one same w sobie, i czego się ma publiczność po nich spodziéwać. — Takie uprzedzenie nie może im zaszkodzić, odjąć chęć widzenia ich w przedstawieniu, bo nie są one oparte na saméj nowości, na nadzwyczajnéj intrydze, na dziwnych wypadkach, na kuglarskich fortelach, węzełkach i tym podobnych rzeczach, które raz widziane lub słyszane. już więcéj nie mogą interessować; ale na dokładném oddaniu charakterów zwyczajnych, ich grze między sobą i obfitości myśli; a te, im więcéj się zna, im bardziéj się w nie zagłębia, tém coraz żywsze zajęcie obudza, tém się bardziéj pragnie oglądać je w życiu.

Treść piérwszej komedji, jest następująca: Dyrektor teatru na prowincyi, w interessie swoim i sceny, postanawia wydać swoję synowicę aktorkę za jednego z aktorów swéj truppy za mąż. Ta zakochana w przejeżdżającym amatorze teatru, który się z nią chce żenić, opiéra się woli stryja, lecz dyrektor nie chce ustąpić od swego postanowienia, zamierza sprawić zaręczyny synowicy z aktorem i wydać ucztę, na któréj zaproszeni goście, mają przedstawić główne osoby z arcy-dzieł sztuki dramatycznéj. Aktorka widząc niepodobieństwo sprzeciwienia się woli stryja, układa ucieczkę ze swoim kochankiem i w czasie uczty, gdy wszyscy stają do tańca; tańcząc z kochankiem, wychódzi z nim z sali i przygotowanym do tego powozem uciekają.

Widzimy, że tu nie ma żadnych sprężyn ukrytych, żadnych wydarzeń nadzwyczajnych, wszystko dosyć naturalne, proste, zwyczajne — scena żyje ze świata i dla świata, a na świecie nie tak wiele czarodziejstw; osobliwości jak deszcz nie padają, zawsze też same namiętności działają i do jednakowych prawie wypadków prowadzą, różnica tylko charakteru w różném je świetle przedstawia. Przejął się tą prawdą p. Korzeniowski i w sztukach swoich wcale się nie sili na labirynta intrygi, na cuda Cagliostra, ale najwięcéj jest zajęty cieniowaniem charakterów. W zaręczynach aktorki, główne charaktery przedstawiają, dyrektor teatru i jego synowica. Dyrektor miłośnik i znawca sztuki dramatycznéj (co mówiąc nawiasem, bardzo wiele na dyrektora prowincjonalnego teatru w Kielcach), całkiem tylko nią jest zajęty, jéj oddany; synowicę swoję kocha dla tego, że jest dobrą aktorką, i aby siebie i sceny nie pozbawić tak wielkiego talentu, postanawia ją wydać za najlepszego swojego aktora; ona przymuszona, zagrożona przez stryja, udaje omdlałą i tak go zwodzi, że stary w rospaczy chce ją ratować, jednak nie gniewa się potém na nią, bo dobrze udała, owszem uwielbia ją, gdy ta zaraz doskonale odegrała rolę Lady Makbet. W jakiż sposób chce obchodzić zaręczyny swojéj ukochanéj synowicy? czém oznaczyć tę ważną chwilę? — oto: „ucztą godną swego powołania" w któréj goście pokazują się w ko-

stiumach rozmaitych rol, najbardziéj charakterystycznych: Ofelii Mirandy, Portii, Małgosi, Rozalindy, Leara, Fausta, Mefistofelesa. Szyloka, Harpagona, Makbeta, Żuliety, Romeo, Hamleta. — Ileż w tém wszystkiém dowodu miłości sztuki! ile gustu! W niektórych miejscach jest on tylko, mimo całéj indiwidualności, za nadto aktorem; kiedy mu dają znać np. że synowica nie może wystąpić w ogłoszonéj już sztuce, przez co widowisko musi upaść, on wpada w przesadzoną deklamaciję:

„Niech teraz gromy spadną, niech zajadłość wściekła
„Wzruszy przeciw mnie ziemię i niebo i piekła" &c.

Dyrektor nader jest troskliwym o sławę teatru i zakłopotany o utrzymanie truppy, wiadomość więc o niemożności wystąpienia aktorki, powinna mu sprawić wielką przykrość, a każdy człowiek aktor czy nie aktor, gdy dozna rzeczywistéj przykrości wpływającéj na jego położenie, czuć ją musi, i skoro nie ma koniecznéj potrzeby maskowania się, dla niéj o wszystkiem zapomina; deklamacija więc ta nie jest w porę; nastręcza ona myśl, że sława i kłopoty u Dyrektora są także udaniem i zobojętnia położenie jego.

W ogóle więc charakter dyrektora, mimo kilku małoważnych uchybień, dobrze nakreślony. Synowica dyrektora od urodzenia prawie na scenie będąca, zawsze i wszędzie jest aktorką, i dobrą aktorką. Widzieliśmy, jak udaniem omdlałéj, zwiodła samego dyrektora teatru, przywiązana do sceny, dla kochanka jednak gotowa ją opuścić, bo aktorka jest kobietą, ale pamięć na dobrodziejstwo stryja wstrzymuje ją, bo kobieta nie jest tak złą, jak podobano sobie ją wystawiać; nareszcie godząc uczucia, skłania się do ucieczki z kochankiem, ale pod warunkiem, że on wstąpi do teatru, że potém oboje przeproszą stryja i zostaną przy nim. — Ileż w tém naturalności! ile prawdy! Pałająca najżywszą miłością dla swego kochanka, wygląda ona z niespokojnością chwili ucieczki, ale tak to dobrze ukrywa, taką okazuje wesołość na uczcie, że nikt nie domyśla się niczego, bo tego potrze-

ba dla uskutecznienia zamiaru, bo ona jest aktorką. Cały ten charakter zupełnie dobrze skreślony, odpowiada celowi, jaki autor sobie założył. Inne charaktery, jako aktora. kochanka, niższe miejsce zajmują w planie sztuki, ale do jéj całości są niezbędne. W toku caléj sztuki i w jéj rozwinięciu, panuje wielka naturalność, lekkość i wesołość.— W doborze i układzie rol i wyjątków z Shaekspeara i Götego, jest cecha wykształconego gustu i wyższego artystycznego dowcipu. Kto nie zna dzieł tych mistrzów, na tym sztuka ta niesprawia całego wrażenia, jakie może sprawić, nie będzie w stanie jéj ocenić; zarzucić więc można téj sztuce brak praktyczności. Wszakże to nie odejmuje jéj wartości, owszem wyższe autora stanowisko okazuje. Język w téj sztuce jak we wszystkich p. Korzeniowskiego, jest naturalny, czysty, piękny — jedno tu wyrażenie tylko znajdujemy niewłaściwe: *ciepłomierz wartości*; podług nas, ciepłomierz do tego tylko można zastosować, o czém można powiedzieć, że jest gorącém lub zimném, jako: uczucie, chęć i t. p, ale nigdy do wartości. — Dyrektor teatru w téj komedji robi czasem za wiele uwag o teatrze i aktorach, co publiczność niedbającą o sposób jakiego ma użyć aktor a chcącą tylko. aby ją rozweselał, nie bardzo może bawić; ale uwagi te są trafne, gruntowne, probujące znajomości i miłości sceny. W jedném miejscu dyrektor tak mówi: „Autor, mój łaskawco! jest tu tylko to co kompozytor, — daje nuty. Ale trzeba być wirtuozem, żeby je wygrać dobrze i tak jak on je wygrał w myśli, gdy pisał."

Niemniéj prosta, nieuderzająca nowością i świetnością, jest rzecz i intryga komedji **Mąż i Artysta**. Mąż postrzega, że jego żona długie miewa posiedzenia z malarzem, który jéj portret maluje; zwraca na to uwagę, przekonywa się, że żona nie nadwerężyła wierności małżeńskiéj, ale nie jest obojętną dla artysty, chwyta list malarza do swojéj żony, daje jéj poznać, że się nic przed nim nie ukrywa i okazuje jéj swoję ufność; malarza bierze na próby, po których powiada mu, że wié o jego uczuciach dla swojéj żony, że go nie dziwi, iż młodemu, ukształconemu czło-

wiekowi podobała się piękna i dobra kobiéta, lecz że on źle skierował swoje zapały, że przez to naraża niepotrzebnie swój talent na zgubę, i aby temu zapobiedz, ofiaruje mu tysiąc dukatów, celem udania się do Włoch. Dopełnia w obec żony tego, co budzi w niéj uwielbienie dla niego i mocniéj utwierdza łączące ich węzły.

Charakter męża zdaje się zrazu być nie bardzo praktycznym, gdy bowiem on w liście miłosnym malarza do swojéj żony, wyczytuje te wyrazy: „**wpatruję się nie oczami ale duszą w jéj anielskie rysy**” robi takie uwagi: „cóż u diabła, znowu anielskie rysy? czyż nie mógł znalesć innego wyrażenia np. w boskie twe lice, w twoje oczy, pełne słodkiéj nadziei, ale może w nich nie wyczytał żadnéj nadziei, tém lepiéj dla mnie”. Czyta daléj: „**Twój uśmiech pełen dobroci, twoje oczy pełne słodkiéj nadziei**” na to powiada: „tam do djabła, więc była i słodka nadzieja? o źle!... no, no! obaczmy” i t. p. — Trudno przypuścić, iżby w ludziach, skoro ci mężami zostaną, do tego stopnia krew ostygała, aby byli zdolnymi do podobnej obojętności, do podobnych drwinek. Ale gdy zważymy, że autor przedstawił w mężu człowieka obytego ze światem, z intrygami miłosnemi, znającego dobrze strony, z któremi ma do czynienia, ufającego swéj żonie, pewnego siebie, i dla tego żartującego z zalotów malarza, wówczas znajdujemy, że charakter ten jest prawdziwy, konsekwentny, owszem jako dosyć wyższy jest więcéj interessującym i od początku do końca utrzymany jest dosyć dobrze, pełen życia i sobie właściwéj barwy — odznacza go pewność, lekkość i szlachetność.

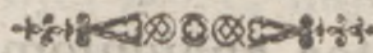
W malarzu znajdujemy prawdziwy obraz młodzieńca, wprawdzie czasem za młodzieńczego jak na artystę, który zakochawszy się raz piérwszy, w przedmiocie swojéj miłości widzi szczęście, Boga przy swéj ulubionéj, wszystko, a mianowicie męża lekceważy i gotów jest dla niéj wszystko zrobić. — Sfałszowanym tylko ten charakter znajdujemy w miejscu, gdy malarz odgadniony w swych uczuciach przez męża, mówi do siebie: „wolałbym żeby mię wszyscy djabli wzięli.” Daléj gdy hrabia oświad-

cza, że się nie dziwi, iż on zakochał się w jego żonie, gdyż ta jest piękną, dobrą i rozumną, malarz mówi do siebie: „Ha! zgłupiałem tak, że słowa znaleźć nie mogę.” — Jedno i drugie powiedzenie malarza, bardziejby przystało frantowi, a nie czułemu, naiwnemu kochankowi jakiego znamy w malarzu. Sfałszowany jest również charakter dosyć dumny młodzieńca, gdy przyjmuje z pokorném rozrzewnieniem rodzaj wsparcia od pana hrabiego.

Hrabina jest dosyć czuła, ale lekka, słaba, wahająca się, może upaść jeśli się jéj nie podtrzyma; może być cnotliwą, jeśli kto będzie umiał nad nią czuwać, ją prowadzić — to dobre pojęcie kobiéty, takiemi z natury są wszystkie prawie — Hrabina nie upada, to nowość prawie na scenie teraźniejszéj, nowość tém przyjemniejsza, że do najwyższego wstrętu, napatrzyliśmy się na ciągłe lekceważenie i deptanie kobiet. Wszakże na scenie nié ma tak powszechnego między niemi zgorszenia. Może kto powié, że się umyślnie same ich błędy wystawiają, aby takowe wyśmiać, od nich odstręczyć: przeciwnego w tej mierze jesteśmy zdania, — ciągłe obcowanie z występkiem, więcéj może z nim oswoić, nań zobojętnić; jak od niego odstręczyć. — Dziwić się raczéj potrzeba, jak płeć niewieścia, widząc ciągle na scenie i czytając w romansach i powieściach, same li słabości swoje, może niewątpić o sobie i mieć chęć do cnoty.

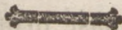
Gra trzech wskazanych charakterów między sobą jest dobra, zręczność w rozwinięciu téj sztuczki nie zła, interes tutaj utrzymany ciągle. Jest w niej tyle życia, tyle treści, że długo pogościć może na scenie, skoro dobrze odegraną będzie.

Kl.



Mieszkania.

(Z rękopismu: „Wykład Starożytności Polskich.)



Cztery rodzaje budynków zamieszkiwali Polacy. Panowie po zamkach i pałacach, szlachta po swoich dworach, mieszczanie w kamienicach i dworkach miejskich: wieśniacy w chatach.

Najdawniejsze zamki stawiano u nas albo na wysokich górach, albo w dole między jeziorami i błotami (*). Nie szło to z nieumiejętności wybrania miejsca, ale z koniecznéj potrzeby. Zamek taki murował pan, nietylko aby w nim mieszkał wygodnie, lecz zarazem aby w napadzie hordy jakiéj, mógł w nim bezpieczną znaleźć uchronę. Na niedostępnéj przeto górze, między wodami i błotami zdroistémi, których mróz największy naszego klimatu niezlodowaciał, stawiał z wielkim kosztem gród warowny. Tu przechowywał skarby i całe mienie, tu sam z rodziną siedział jak za tarczą. Ta myśl obrony kierowała budową: stawiał przeto zamek z cegły, z kamienia, tak dla trwałości przed pożerczym zębem czasu, jak równie, aby to schronienie miało skórę nie łatwo przebitą pociskami i taranami nieprzyjacielskiemi. Jeżeli zamek taki wznosił na górze czy skale, w podziemiach kuł lub kopał głębokie studnie dla wody, obszerne lochy, miejsce dla koni,

---

(*) Krótka nauka budownicza dworów, pałaców, zamków podług nieba i zwyczaju Polskiego. W Krakowie 1659 r. 4.

sprzętu rycerskiego i składu żywności. Opasywał grubym murem, wzmacniał grubszemi baszty, zostawując strzelnice, by z nich niedojrzany raził napastników.

Kiedy wypadło murować zamek wśród błot i wody, już nie kurczył budowli jak na górze, musiał więcéj ich stawiać, bo nie mógł w podziemiach szukać wygodnéj posady dla koni, żywności zapasów i sprzętów rycerskich. Brama wjazdowa, zawsze obronna fossą głęboką, lub rowem, prowadziła jedna sklepiona, często zakrzywiona w półkole (*), aby i w niej dzielny stawiać opór. Most na łańcuchach rzucony, spadał dla wjeżdżających, a podniesiony odchylał przepaść broniącą wstępu do bramy i samą zakrywał. Prócz tego, zasłaniała ją gruba krata żelazna, unosząca się w górę a spuszczona, gniotła ciężarem pchających się w zamek. Jéj uścisk był tak serdeczny, że najtęższą hartowaną zbroję, gniotła jak woskową, a razem w miazgę gniotła tego, co zbyt ufając żelaznéj skorupie, zuchwale darł się do *brony*. jak w starodawnéj mowie wyrażano. I ta nazwa nie była próżną, prócz kraty były za nią rogatki kolczaste z kutego żelaza, zębami ostremi nabite, nadające kształt rolniczéj brony.

Zamek czy na górze, czy wśród błot zbudowany, miał podziemne, tajemne wychody, któremi wypadano lub na odważną wycieczkę, albo gdy obronić niezmożono, uciekano przed zajadłością zdobyczy.

Myśl koniecznej obrony, przed napadami nagłémi, niespodzianemi, na jakie Polska wystawioną była, wycechowała budowę kościołów i pałaców pańskich. I kościoły warowano w mury i baszty i pałace także. Baszko kronikarz robi uwagę, że w XIII wieku u nas poczęto kościoły i klasztory jak obronne zamki budować. Nie wyraził przecież powodu, choć mu przed oczyma leżał. Było to po strasznym napadzie Batego z szarańczą Tatarów,

---

(*) Tego rodzaju brama sklepiona zakrzywiona, w całości zachowana stoi w mieście *Biały* na Podlasiu, przed zamkiem, który w niedawnych dopiero latach uległ ruinie.

którzy drogę przez Polskę zasłali trupami, zrosili strumieniami krwi, przyświecając pożarem miast, wsi, kościołów i dworów (r. 1241). Dotąd pod Iłżą lud pokazuje drogę Batego. Musiały przeto kościoły zawarować swe ołtarze, aby przystęp łatwy mając wierni, odepchnięci bez prośby uchodzili najezdzcy. Do tego pobożność Polaków, nie przestawala budować kościołów i klasztorów po wsiach i miastach: wznoszono je to w samotnej puszczy, to na górze, to w równinie nad wodami. Mogłyż one stać otworem, w czasach tak burzliwych?

I panowie też same mieli powody w budowaniu obronnych pałaców, czy to stały, gorując nad licznemi włościami, czy po miastach większych na przedmieściach. Tu miasto miało swoje mury, zamek baszty mocne: pałac magnatów przed murami miejskiemi, musiał grożne, warowne pokazywać czoło, bo o niego się pierwsze rozbijały ciosy,

Wewnętrzny układ zamków i pałaców był prawie jeden: liczny rzęd komnat; największa sala jadalna, sypialnie z małych alkówek, zbrojownie, piwnice obszerne i duże kuchnie, gdzie od rana do nocy warzono dla licznego orszaku dworzan, rycerzy, i czeladzi.

Szlacheckie *dwory* miały właściwie polską postać na sobie; starodawna gościnność rysowała tu plany budowy, a żywot ziemiański kierował niemi.

Dwór szlachecki miał na czole ganek w samym środku zbudowany; tu gospodarz przyjmował gości, tu rozmawiał letnią porą z kmiotkami, tu na *dożynkach* lub okrężném, odbiérał wśród śpiewek wiejskich wieńce na znak żniwa skończonego. Na ganku samotny, tak nielubiący dachu, mile oddychał świéżém powietrzem, ztąd patrzył na swe łany i modlitwy odmawiał. Stara przypowieść mówi: „*Kiedy gospodarz na ganku, mało gości doma*". Bo rzeczywiście, ziemianin samotnie tam wtedy jeno dumał, gdy nie miał żadnego z gości.

Izba gościnna była obszerna, bo któż zliczył jaką drużynę sąsiadow przy zjezdzie obejmować myśli? Tu bawiono się, tu i u-

cztowano wesoło. Dalszy rzęd pokoi zawisł od zamożności szlachcica i liczby rodziny, dworzan i czeladzi. Były dwory złożone z jednéj izby dużéj i alkowy, naprzeciw kuchnia i czeladź, alę to siedziba ubożuchnego szlachcica: znalazłeś więcéj dworów obszernych, wspaniałych z oficynami. Kuchnia zawsze oddzielna, pod innym dachem, bo jak mówi pisarz XVII wieku: „W Polsce kuchnia nie może bydź ochędożna dla tego, że w niéj siła ważą, „siła pieką, siła smażą kur, gęsi i mięsa" (*).

W każdym dworze była komnata oddzielna zimna, zwana *apteczką*, w niéj polskie gospodynie przechowywały wszystko co dla poratowania zdrowia, zdoborowych ziół i przypraw zebrać mogły: mieściły w niéj także łakocie do ozdoby gościnnego stołu.

Takie dwory w obfitującéj ziemi w drzewo, stawiała szlachta z jodły, modrzewiu, dębiny, lub sosny. „Polacy lubią bez wielkich „zachodów i prędko budować, przeto drewniane dwory stawiają. „Co bowiem łatwiejszego, jako szopę postawić, słomą pokryć i „przy niéj piec z surowéj cegły, który się sam potym wypali? — „A takie jest niedbalstwo w tém, że nigdzie, tylko przy mieście, „i to wielkim, cegły nie dostaniesz, jak rzeczy drogiéj i kosztownéj. I z tegóż to niedbalstwa pochodzi, że tak rzadkie mury „w Polsce i komin z gruntu murowany" (**).

Cudzoziemcy dwór taki drewniany nazywali *stosem drew suchych a Malaspina*. Bonończyk za Zygmunta 3go, przepowiadał: „że wiele się Polski spali za lat kilkadziesiąt, bo drew w niéj si- „ła" (***).

U zamożniejszéj szlachty, zdobiły drewniane ściany kosztowne obicia, dywany, obrazy świętych, wizerunki królów Polskich; na kołkach wisiały zbroje, przybory myśliwskie, a w każdym przy odrzwiach wchodowych ampułka ze święconą wodą.

(*) Nauka budownicza r. 1659, 4-to.

(**) Toż dzieło.

(***) Co nowego abo dwór M. Trztyptyckiego z XVII wieku. Druk gocki.

Przy ścianach stały ławy nagie, lub przykryte dywanem, równie jak stoły; klepsydra znacząca godziny wysypywaniem piasku, nim zegary upowszechniono (*). Piece w XVI wieku stawiano z kafli polewanych, zielonych, lub czarnych, a gościnna izba musiała mieć komin obszerny. Tu bowiem w zimowéj porze dniem i nocą, jasnym płomieniem palił się ciągły ogień; tu przy zjezdzie sąsiadów i przyjaciół cała drużyna wieńcem obsiadała domowe ognisko, a ochocząc się rada w szlacheckiéj gawędzie wspominała dawne czasy, lub zdarzenia obecne.

Podłogę układano z dębu, bo taka przystała tylko podkutym gwoździami butom i podkówkami żelaznemi. W lecie potrząsano je zielem i kwieciem, tatarakiem, majeranem, gwoździkami, w zimie woniejącym jałowcem i drobnemi gałązkami sośniny, jodły, albo modrzewiu.

I dwory takie drewniane, po mniej bezpiecznych miejscach, obwarowywała szlachta, fossą, wałem ziemnym, basztą czy wieżą. Nie długi wszakże opór stawiać mogły, rzucone strzały ogniste, głównia żarząca, wzniecały łatwy pożar. Wiele dworów zniszczono w częstych napadach Tatarskich, Szwedzkich i innych, drugie starością pożyte zginęły tak, że żaden dwór szlachecki z XVI wieku, choćby na pamiątkę tylko nie ostał się na całym obszarze starożytnéj Polski.

Miasta rozrzucone w różnych stronach Polski, musiały być warowne z tych samych powodów co pałace, zamki i kościoły. Ta myśl obrony, wpłynęła na ich kształt budowy, i dla tego, prócz rynku, zwykle w czworobok nieco obszerniejszego; ulice były ciasne, wązkie, kręte. Ale i rynek przy natłoku ludności i potrzebie targów, przestawał bydź wolnym placem, bo gdy wedle zwyczaju na środku ratusz się wznosił, zaraz przy jego ścianach

---

(*) Za ostatniego Sasa i Stanisława Augusta, upowszechniły się zegary wiszące na ścianach, w których kukułka każdą godzinę wykukała. U bogatszych mieszczan i szlachty, weszły w modę zegary szafkowe gdańskie z *kurantami*, grające po kilkanaście sztuk tańców ulubionych.

budowano kramy i stragany dla przekupnic. Ztąd pożar, pomimo murowanych kamieni był straszliwy dla miast tak zacieśnionych, a przy braku ratunku dzielnego, nie raz niszczący niemal całe grody. Miasta obwodzono murami, dla wzmocnienia obrony, stawiano warowne baszty i bramy, cechy wśród nich miały oznaczone stanowiska, gdzie stawały zbrojno w czasie trwogi dla odparcia napastników. Przy większych miastach były zamki, a te zawsze osobną fortyfikacyję stanowiły, ztąd często, pomimo zdobytego miasta, zamek stawiał opór.

Ulice w nocy przewieszano łańcuchami, bramy i fórty zamykano, a śpiew tylko stróżów nocnych przerywał cichość grobową. Ażeby warowniejsze były miasta, by je łatwiéj obronnym murem opasać, musiały szczupłą przestrzeń obejmować ziemi.— Ztąd budowano kamienicę przy kamienicy, wąskie a wysokie na cztéry, pięć, lub sześć piąter. Ztąd rzadko gdzie w takim starożytném mieście, znajdziesz stajnie do pomieszczenia koni i jeden prawie *Malbork* wyrazistą różnicę przechował, bo tam w każdéj kamienicy głównéj ulicy, obszerne na dole przy wnijściu są stajnie, bokiem przy ścianie wiją się schody, wiodące do cel tych zakonników mieczowych.

Miasta stawiali Polacy nie na wzniosłych górach jak zamki, pałace i klasztory, ale przy wodach, jeziorach, czasem w krętych wąwozach. Kilka bram ułatwiało wyjście z miasta, przy nich tak jako i w zamkach były fórty, ażeby dla pieszych nie otwiérać ciężkiéj brony.

Mieszczanie kamienice swoje zdobili zewnątrz w napisy z pisma świętego, w posągi świętych, zwykle Sw. Florijana, lub Sw. Marcina; często w nyszy sciany stał wizerunek Chrystusa, albo Matki Boskiéj. Panowie swoje domy zdobili w herby, wewnątrz do zbytku nie tylko w zwierciadlane ściany ale i marmurowe kominy i posadzki, w kosztowne płaskorzeźby złocone i bogate flamandzkie obicia. Niezbywało tych ozdób i u zamożnych mieszczan gdy kwitł handel i przemysł, a miasta polskie miały w nich udział wielki.

W Krakowie na kamienicach malowano, lub na czele zawieszano znaki dla różnicy i ułatwienia przybyszów. Tak za Zygmunta III, były kamienie pod *karpiem*, pod *jaszczurką*, pod *murzynami* i pod *śmiercią* (*).

Każdego miasta życie i ruch, wydatniał na rynku; tu bowiem w kramach i straganach, sprzedawano wszystko co do życia, ubioru i potrzeb wszelkich wymagano; tu liczne gospody i szynki oznaczone to krzyżami czerwonemi, gdzie miód przedawano, to wiechą sosnową gdzie piwo i wódkę; to winném gronem gdzie skład win w różnych gatunkach, wabiły do siebie i mieszkańców i przybyszów, — Tu, jak w większych miastach Krakowie i w Warszawie królowie odbiérali przysięgi poddanych i hołdy książąt lenniczych; wodzowie tryumfy odbywając wiedli brańców, chorągwie i łupy zdobyte, a magnaci odprawiali wspaniałe wjazdy, przy objęciu wysokich godności.

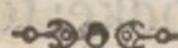
Rynek w każdém mieście, był jego sercem — tam biegł każdy mieszkaniec po nabycie potrzeb niezbędnych — do ratusza po sprawiedliwość i sąd — a patrzał jak prawo karało zbrodniarza, przy pręgierzu zwykle obok ratusza stojącym. Wielkie nabożeństwo Bożego-Ciała, przy ołtarzach strojnych wśród rynku odbywano; — każdy téż cudzoziemiec lub przybyły krajowiec, chciawszy poznać miasto, tu przybywał, aby ujrzéć ruch, gwar i życie polskiego miasta. Zaraz i kmieci z okolic poznawał, bo ci we właściwych sobie ubiorach z furami wśród rynku stawali.

(*) A. Makowski. Obraz wielebnego Fabjana Birkowskiego. Kazanie 1366 r.

Wojcicki.



ROZMAITOSCI.



Miłem jest redakcyi, donieść powszechności czytającéj, iż podług tylko co odebranego listu z Wilna, dowiadujemy się o nowém piśmie czasowém mającém tam wychodzić pod tytułem: **LUD i CZAS.** Wydawcą jest P. January Filipowicz b. słuchacz tamtejszéj akademii.

Prospekt na to pismo poświęcone literaturze i moralności, tak brzmi:

> Światło jest dla nas kluczem S. Piotra do niebios, żagwiami świętemi, na których dostać się można w upragnione etery naszego zbawienia.
>
> *B. T.*

Niezaprzeczenie literatura polska w kilkunastu ostatnich leciech odznaczyła się czynném życiem w produkcjach swoich; równie też i udział, jaki biorą w niéj czytelnicy, coraz bardziej wzrastać zaczyna. Przyczyny takiej dzielności literatury leżą w potrzebie czasu i umysłów; jako téż nie mało się do niéj przyczyniły niepospolite talenta ostatnich czasów.

Pisma perjodyczne, stanowiąc przeważną cząstkę literatury, nie mały interes wzbudzają badacza biegu i postępu piśmiennictwa. W samej Warszawie wychodzi pism perjodycznych około dwudziestu, już-to należących do jakiego naukowego stronnictwa, już-to nie mających wyraźnego dążenia.

Południowe prowincije, jako to: Wołyń, Podole, Ukraina i t. d., niepospolite zajmują stanowisko w dzisiejszéj literaturze; a płody ich czasowe, ześrodkowawszy się w **Athenaeum** — piśmie odbijającém myśl oddzielną, przyjęły charakter sobie właściwy.

Jedynie przestrzeń kraju po Niemnie i Wilji, nie skupiła dotąd tak wybitnych materijałów myśli społecznéj, ażeby one mogły utworzyć i wydać pismo dość silne dla dłuższéj trwałości. Widzieliśmy upadek **Wizerunków i Roztrząsań Naukowych**, pisma (chociaż z niestosownym tytułem) nacechowanego tu i owdzie charakterami miejscowości.

Ale natomiast widzimy usiłowania nieustanne, ku objawieniu się piśmiennictwa, w gęsto powstających Noworocznikach różnéj wartości, nazwy i treści. Takowe powstawanie pism jednych na ruinach drugich, jak z jednéj strony niewątpliwie jest dowodem zapasu myśli i ducha, tak też krótka ich trwałość dowodzi braku przeważnych środków i siły, któreby pomimo wszelkich przeszkód, potrafiły skupić tę myśl w jedno wydatne ognisko — w jedno pismo.

Chcąc w części zaradzić takowym, miejscowym niedostatkom, przedsiębierzemy wydawanie pisma zbiorowego: **Lud i Czas.**

Zapewne byłoby tu stosownie namienić o właściwych pismu temu zamiarach, dążności i duchu; lecz Wydawca tego nie czyni z przekonania, iż Pismo samo sobą lepiéj da poznać siebie czytelnikom, niż wszelkie uprzedzające o niem opisy. Wspomnimy tu tylko, iż to pismo zamierza na tle **Czasu**, portretować **Ludzi** w ich umysłowych, towarzyskich, publicznych i domowych stosunkach.

Mieścić będzie następne podziały:

I) *Rozprawy, Badania i Postrzeżenia*, we względzie literatury, języka, wychowania, moralności i t. p.

II) *Rysy charakterów i obyczajów.*

III) *Poezije.*

IV) *Pamiątki krajowe dawne i spółczesne.*

V) *Studja gminne*, obejmujące: podania mythyczne, powieści, piosnki, przysłowia i zagadki ludu.

Wszelkie artykuły literackie, o nadsyłanie których, uprzejmie upraszamy i korrespondencje tyczące się niniejszego pisma, przyjmują się pod adresem Wydawcy w Wilnie w księgarni JP. Teofila Glücksberga.

Tamże, równie i u osób uproszonych przez Wydawcę, przyjmuje się przedpłata na to pismo.

Każdy tom od 12 do 14 arkuszy druku obejmujący, kosztować będzie r. s. 1; z przesłaniem pocztą r. s. 1 k. 30. Po wyjściu z druku r. s. 1 k. 50.

NOWINY.

Olszewski b. półkownik ma wydać fizjologiję roślin. *Poznanie, przyjemność, użytki roślin, botaniki i ogrodnictwa.*

O malarstwie, rzeźbie i rytownictwie, rys Historyczny skreślił Franciszek Maxymiljan Sobieszczański. Wydaniem tego ma się zająć księgarz Olgerbrand. — Obszerny artykuł jako cząstka téj pracy był już umieszczony w 1843 r. w Dzienniku Krajowym.

Szymański napisał: „Powrót do Warszawy" komedję.

Milewski Karol, ma ogłosić drukiem: *„Wspomnienia krajowe."* z których wyjątki mieściły się w dawniejszych pismach czasowych.

Ma wyjść wkrótce powieść z czasów Bolesława Śmiałego pod tytułem: „Piotr Krempa" przez zgasłego artystę Werowskiego napisana.

W przeszłym numerze pisma naszego, umieściliśmy rozbiór „Wspomnień s podróży do Krymu Edmunda Chojeckiego" — teraz donosimy, iż Szymanowski Wojciech przetłómaczył na język polski „Podróż w Rossyi Południowéj i Krymie przez Węgry, Wołoszczyznę i Mołdawię, odbytą w 1837 roku, przez Anatola Demidowa".

